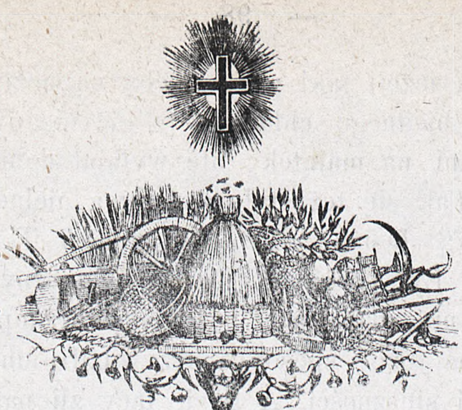
Tom XIV. Nr. 7.

1. marca 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Sąd króla chłopków.

Za dawnych czasów, kiedy to jeszcze ludzie wszyscy nie uwzględniali się według Chrystusowej nauki za braci — źle się nieraz działo biednym a osobliwie chłopkom, bo możny zawsze nad słabym przewodził. We wszystkich krajach był srogi ucisk nad wieśniakami, bo tam się znęcano bywało nad nimi w najnielitościwszy sposób — ale za to w Polsce, jak świat światem nie bywało nigdy takich okrucieństw i niesprawiedliwości. Panowie polscy bywali zawsze łagodni i sprawiedliwi dla swoich poddanych — a choć się znalazł jeden i drugi zły i nieludzki, bo bez złych nie obejdzie się na tym świecie, to go też zaraz dosięgła kara, bo nad ludem wiejskim czuwali królowie polscy, co nie dali nigdy zrobić krzywdy ubogim włościanom. Toć też w Polsce było wówczas jeszcze najlepiej wiejskiemu ludowi — a każda krzywda, którą im kto wyrządził, bywała surowo karana. Opowiem wam tu taki jeden wypadek, o którym wyczytałem w starych księgach.

Najlepiej się działo chłopkom pod Kazimierzem Wielkim. Król ten miał dla ludu prostego złote serce i starał się ciągle

o jego dobro. A jeżeli jaki pan, choćby najmożniejszy poważył się skrzywdzić biednego chłopka, to już nie uważał król ani na jego ród, ani na majątek, ale wyłajał dobrze a nieraz i srogo ukarał. Tak się też stało z dwoma nieludzkimi panami: Piotrem Pszonką Jasieńczykiem i Ottonem Toporczykiem ze Szczekarzewic. Byli oni obaj bardzo zamożnymi panami ale przytem też i niegodziwymi, bo uciskali chłopków w swych majętnościach na różny sposób 'i krzywdzili ich nieraz ciężko bez najmniejszej słuszności. A gdzie tacy źli panowie, tam się źle dzieje i poddanym. To też nie było zamożnego gospodarza w szerokich włościach Jasieńczyka i Toporczyka, bo ledwie tylko który począł się jakoś od biedy uwalniać, aż tu zaraz pan jego nielitościwy nową krzywdą wyzuwa go ze wszystkiego dostatku.

Jeden rok zdawał się biednym chłopkom lepszą wróżyć dolę. Bóg bowiem pobłogosławił ich pracy około roli i dał piękny urodzaj. Wszystkie łany ich pokryły się dorodnem żytkiem i pszenicą, a choćbyś nie wiedzieć jak oczy wytężył, nie dostrzegłbyś końca tych dostatków. Cieszy się więc każdy gospodarz nadzieją polepszenia swej doli i wyczekuje tylko niecierpliwie żniwa, by zwieźć do stodoły swoje skarby. Tymczasem ci źli ich panowie lubiąc bardzo polować chartami na zwierzynę, a widząc że pola ubogich chłopków, położone w dolinie, są najdogodniejszem miejscem do tego, nie baczą na niedostatek swojego ludu ani na piękne łany, tylko wypuszczają jednego poranku na nie wielką zgraję psów, a sami na koniach pędzą samym środkiem zasianych zagonów za zwierzyną. Przelękli się biedni chłopkowie, widząc jak nielitościwych mają panów, co dla swojej chwilowej rozrywki tratują końmi już dojrzewające zboże i niszczą owoc całorocznej krwawej pracy. Ale jeszcze zawsze myślą, że uda im się przecież pokorną prośbą namówić panów, by im takiej ciężkiej krzywdy nie czynili. Wychodzą więc do nich i ze łzami proszą, by wrócili do domu i poprzestali na tej i tak już bardzo znacznej szkodzie. Ale gdzież tym dumnym panom w głowie usłuchać próśb ubogich ludzi?... Zaśmiali się z ich łez i chcą dalej uganiać po łanach, a gdy chłopkowie na kolanach drogę zastępują i swe

prośby powtarzają, rozgniewali się już na prawdę i kazali swym pachołkom ukarać ich za to naprzykrzenie. A ci tak samo niegodziwi jak ich panowie, obili biednych i puścili za nimi psów, by ich prędzej do domu napędzić.

W nie długim czasie po tym niegodziwym czynie obu panów objeżdżał kraj cały król Kazimierz Wielki a po drodze wstąpił i do wsi, w której mieszkali chłopkowie ciężko pokrzywdzeni. Skoro się tylko dowiedzieli o przyjeździe ich dostojnego ojca i opiekuna, natychmiast udają się do niego ze skargą na swych panów i prośbą o ulżenie im tego przykrego poddaństwa. Co też to się tam musiało dziać wtedy z królem, gdy mu chłopkowie opowiadali, jako ich tu panowie zkrzywdzili i sromotnie kijami obili! Bolał król nad ich hańbą i krzywdą jak ojciec nad nieszczęściem swych dzieci, i postanowił stosownie ukarać panów, co tyle złego jego ukochanemu ludowi a jemu tak wielki smutek sprawili.

Wezwani przed króla Piotr i Otto stają natychmiast, i zamiast usłyszeć od Kazimierza dobre słowo przywitania, jakiem król każdego poczciwego zagadywał, widzą jego twarz groźną i pełną gniewu i złości. Zlękli się panowie, boć natychmiast poznali, że aż teraz dopiero będzie z nimi kręto za te ich niecne sprawki i uciski ubogiego ludu. Król zmierzył ich okiem i rzekł do chłopków, co niedaleko niego stali:

— Jaką miarką ci panowie wam mierzyli, taką i wy im teraz odmierzcie. Bili oni was bez litości, bijcie i wy ich teraz.

Słyszeli chłopkowie dobrze, co król rozkazał, ale żaden z nich nie tknął kija na chłostę panów umyślnie przygotowanego. Bo oni choć tak pokrzywdzeni szanowali zawsze swych panów i gotowi byli zaraz się z nimi pogodzić, byle się tylko z nimi po ludzku obchodzili. Ale Kazimierzowi jakoś nie patrzało z zagniewanych oczu, by zechciał odstąpić od srogiego ale zasłużonego wyroku, i przebaczyć panom ich przewinę. Powtórzył raz jeszcze groźniej swój wyrok, poczem chłopkowie lubo nie radzi musieli go spełnić ze smutkiem, by nie zagniewać na siebie nieposłuszeństwem swego opiekuna i dobrodzieja. Hańbaż to była hańba złych panów, gdy ich chłopek takim samym kijem okładał jakim oni jego niegdyś chłostali!...

I nie mogli znieść panowie dumni tak wielkiego sromu, jaki ich dzisiaj w obec wszystkich dworzan królewskich i chłopków spotkał. Postanowili więc pomścić się za to na całym kraju i ściągają Litwę do Polski. A Litwa ówczesna toć to nie ta Litwa, która się później z nami pobratała i w jeden naród zlała. Litwa ówczesna była dla Polski ciągłą nieprzyjaciółką, napadała bez ustanku jej ziemię, łupieżyła i pustoszyła cały kraj polski. To też gdy Litwinom Pszonka i Toporczyk obiecali, że ich do Polski wprowadzą i całą ziemię na łup wydadzą, wzięli się bardzo skoro do wojny i w krótkim bardzo czasie stanęli nad brzegiem Wisły, co ich kraj od Polski odgranicza. Ale nasza Wisła nie małą jest sobie rzeczką! Litwini poznali, że trudna będzie przeprawa, więc wysełają Pszonkę, by im drogę wskazał, którąby najprędzej rzekę przejść mogli. Pszonka znalazł bardzo płytkie miejsce i tam wbił wysokie tyki, aby Litwini wiedzieli, którędy się przeprawić mają. Ale już to Bóg zawsze czuwa nad słuszną sprawą i nie dopuszcza by nad nią podła zdrada górę wzięła. Tak też i teraz sprawił swą wszechmocną łaskę, że właśnie tędy nadpłynęli rybacy. Wpadły im odrazu w oczy te ogromne tyki, a domyślając się, że nie na co innego one tu stoją, jak tylko dla jakiej zdrady lub zasadzki, powyjmywali je i powtykali w miejsce najgłębsze, gdzie woda najsilniej rwała. Skoro tylko rybacy odpłynęli nadbiegają Litwini i rzucają się co żywo do wody, gdzie teraz tyki stały, by czemprędzej przebrnąć przez rzekę do Polski i pohulać tam krwawo na obcej ziemi i obcej własności. Ale skoro tylko do polowy dopłynęli, poznali zaraz co się święci. Znajdowali się w największej głębiznie, po której konie bardzo zmęczone ciągłym pospiesznym pochodem płynąć nie mogły, a do tego woda ciągnie gwałtownie wszystko na dół. Siła tam bardzo chciwych wrogów poginęło i nie doczekali się nawet zobaczyć ziemi polskiej, którą złupić tak gorąco pragnęli. Ci zaś, którzy się wyratować potrafili, wzięli się zaraz do Pszonki i Ottona, bo myśleli, że oni to chcieli ich zgubić i dla tego zapchali tyki w najgłębsze miejsce. Daremnie wypierali się obaj, daremnie wzywali Boga na świadka swej niewinności, Litwini nieprzekonani a mocno rozgniewani

obwiesili ich haniebnie na wysokim drzewie, jak na podłych zdrajców własnej ojczyzny przystało.

Taka to była sprawiedliwość za naszych dawnych królów polskich i taka to jest zawsze sprawiedliwość Boga!

Bartek Szkolarz.

Siwy dziaduś.

Przyszedł dziaduś, brodę długą jakby mlekiem zmyło,
Siadł i prawi, ludzi bawi, jak to dawniej było:
— Dawne temu lata. W zielonej dąbrowie,
Zeszli się na pogwar nasi praojcowie,
Radzą obrać króla i tak Bóg nadarza,
Że na króla biorą swego gospodarza.
Rządził, Bóg pomagał, złote były czasy:
Pola się żółciły, zieleniły lasy,
I konie i woły i pełne stodoły,
I wszelki dobytek i z ludzi pożytek,
I tak ci się miło na ziemi tej żyło,
Że nawet anieli, na ziemię zlecieli. —
Ludziska zaczęli coś mówić o wrogach...
Chodziła czapla na wysokich nogach,
Chodziła po desce, powiedzieć wam jeszcze?...

— Mówcież dziadku, Bóg zapłaci, my będziemy radzi,
A co wasze to i nasze, spocząć nie zawadzi. —
— Był potem czas ciężki; padła kara boża,
Z hałasem i gwałtem przypadli z za morza,
Co było niszczyli i krwią się napili,
I mało co starych ojców nie zdusili.
Więc król nasz jak skoczy: — Hej razem sąsiady!
Pozbądźmy się chyżo tych zbójców gromady! —
I jak się nie wzięli, tak wszystkich wycięli,
Że krew się toczyła, jak woda po ziemi,
A nasi ojcowie osiedli w dąbrowie,
Spoczęli a święci Anieli też z niemi,
I znowu się pełno zrobiło po brogach...
Chodziła czapla na wysokich nogach,
Chodziła po desce, powiedzieć wam jeszcze?

— Mówcież dziadku, słonko w górze, zostaniecie z nami,
Coś nam smutno, strach nas bierze, oczy zaszły łzami.
— Więc było spokojnie. I długo tak było,
Że się też aż onym z za morza sprzykrzyło:
I spadli jakoby szarańcza straszliwa,
I ludzi układli jak zboże u żniwa,
A nasi praojce schowali pałasze,
I głowy skłonili jak my Bogu nasze,
Nie było spokoju, nie było i boju,
I Bóg się nasrożył, że człek się położył,
Tak było a zgliszcza zostały po wrogach.
Chodziła czapla na wysokich nogach,
I skrzydła rozwiła i chodzić skończyła.

Grześ z Mogiły.

Kościółek w Jaśkowicach.

Opowiedział Skoczek z Radomyśla.

I.

Trzeciego sierpnia przeszłego roku byłem u mego brata w Turbi koło Radomyśla nad Sanem. Cały dzień prawie przepędziłem w polu przy żniwie, bo któżby wysiedział w domu w takim złotym czasie, kiedy ludek jakby robaczki krząta się przy zbiorze darów bożych. Słońce się już chyliło ku zachodowi, jakeśmy do domu przyszli. Usiedliśmy na ławce w ganku, w tem zbliża się ku nam dwóch chłopów, jeden młody a drugi staruszek. Jacyś to ludzie idą do ciebie po interesie, mówiłem do brata.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — wymówił staruszek.

— Na wieki Amen! — odpowiedzieliśmy.

I powitaliśmy się, a ja prosiłem staruszka koło siebie na ławkę i pytałem go:

— Na coż wy to tę składkę zbieracie?

— A widzicie kochaneńko — odrzekł staruszek — bo to u nas za trzy dni będzie odpust, to tę składkę damy na ofiarę do Przemienienia pańskiego.

— A kiedy u was niema kościoła; wy ponoś do Pysznicy należecie? — mówiłem.

— A tak — odrzekł staruszek — my do parafii na Pysznicę należymy, ale w swojej wsi mamy kościółek i jaki jeszcze stary, to warta widzieć, a teraz jest całkowicie odnowiony, deszczkami obity, dach nowy, kopuła się szkli jak gwiazdeczka, a we środku wymalowany na niebiesko w drobne paseczki, a na podniesieniu to są takie kwiateczki wymalowane delikatnie, gdyby prawdziwe; mamy monstrancyę, kielich, pięć ornatów, mszał wyzłacany i wszystko co trza, bo dawniej jak ksiądz przyjechał z Pysznicy ze mszą świętą, to wszystko z sobą przywoził, a teraz mamy swoje, nawet organy sprawiliśmy.

— A któż ten kościółek wybudował? — pytałem.

— Na to niema pamiętnika — odrzekł staruszek — mnie będzie 80 lat obłożonych, a jak zapamiętam, to lipy były takie jak i dziś, a i kościół już był stary, bo było na nim mchu jak na dębie w lesie.

— A jakże tam we wsi o tym kościele gadają? — pytałem.

— O kochaneńko! jabym tego do północka nie opowiedział — rzekł staruszek.

— Proszę was, opowiedzcież mi, bo ja lubię słuchać o starych dziejach.

— Kiedyście panie tacy ciekawi, to wam opowiem — i tak zaczął rzecz prowadzić:

— Byłem wtenczas jeszcze małym chłopcem, jak mi babka opowiadali, że na tem miejscu gdzie teraz ten kościół stoi, to było obejście Kaspra Palenia, a przed chałupą stała drewniana figura Przemienienia Pańskiego. Kasper Paleń miał żonę Magdę. Byli to oboje młodzi ludzie jak sosenki na wiosnę, mieli podostatkiem wszelakiego majątku, jeno nie żyli z sobą w zgodzie. Jednego razu żęli oboje żyto na polu, i na zagonie tak się poswarzyli, że Magda rzuciła na Kaspra sierpem i skaleczyła go nielitościwie. Kasper porzucił żniwo, żonę i wszystko i do domu już więcej nie wrócił, jeno poszedł w świat z wielkim płaczem i frasunkiem. Błąkał się między obcymi ludźmi długo, aż kiedy szarańcza tych Bisurmanów Turków

ciągnęła pod Wiedeń, to Kasper z inszymi i z królem Sobieskiem poszedł na tę wojenkę, i tam tych Turków ponoś co do nogi wydusili, działo się to za czasów króla polskiego Jana III Sobieskiego i cesarza niemieckiego Leopolda I w roku 1683, to już temu 182 lat.

— A zkądże wy to sąsiedzie o tej wojnie tak dobrze wiecie, czy umiecie czytać? pytałem.

— Oj, żebym też umiał kochaneczku, czegożby mi trzeba do mojej pamięci, jabym o całym świecie wiedział na pamięć. Mój sąsiad Józef Trzciński a ojciec tego mego towarzysza, co jest za kościelnego u nas, umie czytać dobrze i pisać, nawet z powiatu pismo przeczyta jak jest wyraźne — otże on w niedzielę albo we święta czytuje nam o tych dawnych naszych polskich dziejach.

— Ale proszę was mój sąsiedzie powiedzcie mi czy Kasper zginął na tej wojnie?

— Broń Boże - odparł stary — nie zginął, ale do Jaśkowic nie wrócił — tylko udał się z jakimś bogatym panem daleko na Ukrainę i tam u tego pana stanął do służby. Kasper musiał być dobrym chłopem, kiedy go ten pan tak polubił, że przy śmierci zapisał mu na wieczne czasy jednę wieś na własność. Kasper już tam na swojej wsi był panem, miał wszystkiego podostatkiem, ale go to nie cieszyło. Zawsze jeno myślał o swojej wsi, o rodzinie i o żonie — a nieraz nawet już miał pisać, żeby do niego przyszła, ale że myślał — możeby ona i teraz jeszcze była taką złośnicą, to wolę sam biedować między obcymi ludźmi. Bił się nieborak z myślami, nie wiedział co miał począć, a to go coraz więcej w sercu paliło, że nie wiedział tej wsi w której się urodził, i że nie może pogadać z tymi ludźmi, z którymi się wychował. Żywemu Bogu chudaczek płakał, aż mu się raz przyśniło, że był w Jaśkowicach przed swoją chałupą i klęczał pod figurą Przemienienia Pańskiego, żona do niego przyszła i ludzie się zbiegli i prosili go żeby do Jaśkowic wrócił. W tym śnie widział Kasper wszystkich krewnych, chodził po polu, po błoniu gdzie bydło pasał, a z tej wierzbiny co przed figurą zasadził, ukręcił fujarkę, grał na niej i spiewał żałośnie. Jak się przebudził to mu mało

serce nie pękło, że to widzenie było tylko senną marą. Postanowił cały swój majątek sprzedać i do Jaśkowic wrócić. I tak też zrobił. Sprzedał wszystko za 5 tysięcy dukatów, ubrał się po dziadowsku i te dukaty w łachmany pozaszywał, wziął pałicę do ręki i gdyby dziadek ciągnął ku ojczyźnie.

— A i przyszedł że on do Jaśkowic? — pytałem.

— O nie tak prędko kochaneczku — odparł stary — niech nam się zdaje, że on jeszcze w drodze a teraz o jego żonie opowiem, a dopiero potem o nim i o kościele wam dokończę.

II.

Magda choć to była, Boże odpuść piekielnica, ale była młodziusieńka niewiasta, urodliwa i pracowita. Utrzymywała sobie zawsze parobka i gospodarstwo pięknie prowadziła. Była pierwszą na całą wieś, to też jej się nie mało kawalerów i młodych wdowców trafiało, ale za mąż nie mogła pójść, bo nie wiadomo było, czy Kasper umarł na pewne. Pisanie chodziło prawie po całym świecie za Kasprem, i nie mało ją to pieniędzy kosztowało, ale się nigdzie nie mogli o nim dowiedzieć. Minęło już 18 lat i na dziewietnasty się obróciło, jak się Magdzie trafił jeden młody wdowiec, tak samo bogacz. Ksiądz pleban nie chciał dać ślubu, to oni gdzieś we świecie kogoś przepłacili, że im zfałszował takie pismo, jako Kasper Paleń w tej i w tej wsi, tego i tego dnia na pewne umarł. Jak ten papier do księdza plebana zanieśli, tak ksiądz przystał na to i zapowiedzi szły zaraz. Magda krzątała się już koło wesela, ładowała chleb, placki, mięsiwa różne i napitki, sprowadziła kapelę z Radomyśla i wesele zaczęło się na wieczór niby w wiliją Przemienienia pańskiego.

Tego samego dnia wieczorem przylazł nasz Kasper już do Rozwadowa. Dzwonili prawie na pacierze, klęknął na piasku, zmówił Anioł pański i paciorek do Przemienienia pańskiego i lazł dalej ku naszej wsi na noc, bo to blisko, jeno ćwierć milki polem. Przyszedł że już i nad San, krzyknął przewozu, i zareńko przewoźnik podjechał czółenkiem i przewiózł go na naszą stronę. Tutaj Kasper odpruł z łachów jednego dukata, dał przewoźnikowi mówiąc:

— Weź mój synu tego dukata na pamiątkę od starego żołnierza, co za młodu bił Turków pod Wiedniem.

Przewoźnik pocałował staruszka w rękę i odbił od brzegu z uciechą, a nasz Kasper przeżegnał się sanową wodą, obmył się, klęknął i całował ziemię dziękując Bogu za jego miłosierdzie, że mu pozwolił jeszcze tę ziemię oglądać. Już się na dobrze zmierzchło jak Kasper szedł polem ku wsi. Przyszedł na swoje zagony gdzie na miedzy stał dąb, co go jeszcze jego dziadek zasadził. Stanął pod tym dębem i dumał:

— Ach Boże! Tyś mi jeszcze pozwolił spocząć pod tym dębem, którego zasadziła ręka dziadka mego! Dębie mój kochany! Dziadek umarł, ojciec nie żyje i jam się zestarzał a tyś zawsze jednaki!

W tem słyszy z daleka jakiś głos, a to widzicie panie chłopaki paśli konie, leżeli na łące i tak rozmawiali:

— Słyszysz Wojtuś? czyjeżto dziś wesele we wsi?

— A to nie wiesz Jasiu, że Franek Sęk żeni się z Paleńką.

— Czy to z tą, co miała iść za Dobosza Walka — pytał Staś — a dyć z tą samą — odrzekł Wojtuś.

— A dla czegóż ona za Dobosza nie poszła — pytał Jaś.

— Onej się zawsze ktoś trafiał, prawił Wojtuś, i mogłaby była pójść jeszcze z młodszych lat za mąż, ale kiedy ona ni panna ni wdowa, bo już paręnaście lat jak jej mąż Kasper poszedł gdzieś w świat, i niewiadomo czy żyje czy umarł — to ksiądz pleban nie chcieli dać ślubu.

— A teraz już dadzą? — pytał Jaś.

— A jużcić dadzą — mówił Wojtuś — bo Franek Sęk przyniósł z kądś pisanie niby od jakiegoś plebana, że jako Kasper Paleń w tej i w tej wsi, tego i tego dnia na pewne umarł; ale to tam we wsi różnie o tem gadają, co mi tam do tego — ot lepiej słuchajmy tej muzyki, bo tak leci po rosie, jakby ot tu pod dębem grali.

Kasper pod dębem słuchał tej rozmowy, serce mu biło i mało mu się z piersi nie wyrwało, ztrętwiał cały bo się dowiedział o swojej niedoli i czemprędzej gnał prosto ku wsi na swoje obejście. Przyszedł do wrót, a tu zamknięte na kłódkę. Nadstawił ucha — słyszy granie w stodole na boisku, gwar

w chałupie i zgraję chłopaków i dziewek na podwórcu. Woła: puśćcie tam! raz, drugi i trzeci — nikt go nie słyszał, zaczął palicą pukać we wrota aż przyszedł sam pan młody Franek i pyta:

— Kto tam?

— Ja — odrzekł Kasper.

— Co za ja? — pyta Franek.

— Ja dziadek — odrzekł Kasper — proszę o nocleg.

— Idźcie do karczmy, bo tu wesele, nie ma miejsca — zawołał Franek.

— Wszak ja nie wiele miejsca potrzebuję, nawet i garści słomy nie chcę, gdzie bądź się pod ścianą przespię, puśćcie mię puśćcie, bom słaby i głodny, a psy mię obskoczyły, czy nie słyszycie jak na mnie ujadają? — żebrał Kasper.

— Nie puszczaj Franek — zawołała i Magda — dziś się zaczyna nasze wesele, co mi tu po włóczykiju, jeszcze tu umrze i cóż mi po trupie, niech sobie idzie pod figurę, to się przenocuje pod wierzbą na murawie, przecież ciepło, a noc nie długa.

Kasper westchnął — nie rzekł ani słowa — wykręcił się i poszedł pod figurę. Tu klęknął, obcałował ją na okolusieńko i modlił się z płaczem; ominął go żal — i ja mu się panie nie dziwuję że mu cierpliwości brakło — zerwał się ze złością i idzie nazad do wrot, bije palicą nie na żarty. Przychodzi znów pan młody mówi:

— Przebaczcież dziadku dzisiaj, przyjdźcie jutro po ślubie to was uraczymy, bo dziś nie ma czasu.

Kasper się umitygował i mówi miłosiernym głosem:

— Oj dziś mię puśćcie, niech się przypatrzę waszemu weselu i niech was pobłogosławię, bo ja stareńki człowiek.

— Puśćcie go, puśćcie Franciszku — odezwały się dzieweczek głosy — bo to jakiś stary dziadek i musi być z daleka bo z ruska zacina.

Otworzył Franek wrota i puścił Kaspra. Zaraz go gromada chłopków i dziewek obstąpiła, przypatrywali mu się ciekawie, bo zmyślnie był ubrany, miał wielką czarną brodę, długie włosy, na płaszczu było łat jak gwiazd na niebie, miechały

„torby“ na krzyż, pasyjkę, św. Mikołaja, pasterza dobytku, różne paciorki, cichobiegi „kurpie“ lipowe i potężny kostur z batem i z jeżem na końcu.

Zaraz przyszedł starosta z flaszką i poczęstował Kaspra, dał mu przekąskę, kawał kiełbasy z bieluteńkim plackiem. Usiadł Kasper pięknie pod ścianą i zajadał smacznie. Zmartwienie go już ominęło, cieszył się że już się dostał do swoich węgłów. Oj kochaneńku musiał on się też cieszyć! biedaczek na wojnie nie zginął, tyle światy obszedł i przecież doczekał wrócić na swoje śmiecie. Magdę poznał odrazu i ona zerknęła na niego parę razy, ale Boże! śmierci może się prędzej spodziewała, nie poznała go. Kasper wlazł za drzwi i sztuderował jakby tu im figła wypłatać, czy zaraz z wieczora na dobranoc, czy aż przed ślubem. Muzyka grała, spiewali, pląsali, jedli i pili a i Kasprowi za drzwi podawali.

Przy tej zabawie noc przeszła w okamgnieniu, zrobił się już i dzień, zajechało ze 20 wozów co mieli wieźć weselnych na ślub do Pysznicy. Swaty i swaszki, druchny i drużby, pan młody i pani młoda stanęli na środku izby niby do błogosławieństwa, a tu wyłazi powoleńku Kasper z za drzwi, i rzecze do starosty:

— Panie starosto! proszę was pokażcie mi panię młodą!

— Ot ta! rzekł starosta — i pokazał na Magdę.

— Czyś ty Magda? — mówi Kasper drzącym głosem.

Na te słowa Magda padła jak nieżywa! Krzyk się zrobił okrutny — uroki, uroki! czary! wołali wszyscy — za drzwi z dziadem! za drzwi! Kobiety Magdę cucą, parobki biorą się już do Kaspra, a on jak ci nie zacznie wywijać ową lagą po plecach, jak nie rozpuści bata, jak nie zacznie gwizdać po chłopakach.

— A wy szubrawce, a wy urwipołcie, to wy mnie z mojej chałupy chcecie wyrzucić? Ja Kasper Paleń, tu z dziada pradziada mój grunt, moja chałupa, moja Magda!

— O przemienienie Pańskie! krzyknęli wszyscy i rzucili się na Kaspra z wielką radością, witali go, całowali, krzyk się zrobił na całą wieś, zbiegali się ludzie i wielki dziw powstał; nie mogli mu się napatrzeć, tak się odmienił. Teraz dopiero

Kasper swoje łachmany włożył do skrzynki, zamknął na klucz i na kłódkę, ubrał się w sukmanę nową, co mu sam pan młody Franek na rozpoczęcie darował i zaczęło się wesele na prawdę. Magda się upamiętała z radości i w pierwszą parę poszła z Kasprem w taniec. Kobiety się mało nie biły, bo każda chciała z Kasprem pohulać a on aż nie mógł wydołać. Potem takie wesele trwało tydzień, bili woły, i różne napitki fundowali, a kapeliści aż nie mogli nastarczyć grać. Jak się ta radość ukończyła, dopiero prawie cała wieś poszła do kościoła Pysznickiego na podziękowanie Panu Bogu, za jego wielkie przemienienie.

— No i cóż się stało dalej? pytałem.

— Zaraz wam kochaneńku opowiem jeszcze ciekawsze rzeczy odrzekł staruszek.

III.

Magda żyła z Kasprem dobrze jeno coś z rok, bo o tem cudzie jaki Pan Bóg nad nią pokazał, ani nie wspomniała nigdy; nawet i ten majątek, co go Kasper z sobą przyniósł nie poprawił jej nic. Kochaneczku! wyście młodzi jeszcze to nie wiecie jak to ze złymi ludźmi trudno poradzić. Ona zawsze była zła, a co jej się ludzie naperswadowali, to nic nie pomogło. Kasprowi nigdy dobrego słowa nie dała, tak go dręczyła, że biedak podupadł na umyśle, i niech to będzie w jego mierze, zwarjował. Latał po wsi, napastował ludzi i zwierzęta, ot zwyczajnie jak szalony, a jak go ten szał kiedy ominął, to siadywał pod figurą Przemienienia pańskiego, płakał i śpiewał różne pieśni ruskie tak żałośnie, że nie jeden się nad nim napłakać nie mógł. Magda sobie jakoś nic z tego nie robiła, gazdowała w domu, co prawda porządnie, i majątku co dzień przybywało. Jednego czasu, było to już koło św. Łucji, słota i zimno a Kaspra nie było cały dzień we wsi, bo pobiegł do Pniowa na odpust, i przyszedł aż wieczór do Jaśkowic zmarznięty jak osika i głodny. Trafił do swoich wrót, bo tego dnia był przy umyśle dobrym. Już się nie świeciło w chałupie jak do drzwi zapukał i wołał żeby go puścili. Służąca dziewczyna Kasia wstaje i chce drzwi otwierać, a Magda jak nie krzyknie:

— Nie puszczaj mi go tu, niech tam kawęczy kiedy tego chciał.

— Ale gosposiu! przecież gospodarz proszą, żeby ich puścić, to otworzę — mówiła Kasia.

— Ani mi się rusz! — mówi Magda z krzykiem.

— Bójcież się Boga gosposiu — mówi Kasia — przecież to nie pies, i jakże będzie pod ścianą spał całą noc? Wam miło leżeć pod pierzyną, a on tam będzie pod gołem niebem? Zastanówcież się gosposiu co robicie, cała wieś was oto nie nawidzi, a wam się trudno upamiętać — Boże przemień!

— Cicho mi tu będziesz! — krzyknęła Magda — czy chcesz co oberwać? to ja ci tu sprawię upamiętanie.

Uciszyło się w chałupie, jeno po wsi rozlegał się głos Kasprów z pod figury. Spiewał biedak chłodny i głodny, ale on tam już mało i czuł, bo wszelkie uczucie Magda w nim zatrapiła. Mój Boże! a Magdusia usnęła pod pierzyną w cieple i po dobrej wieczerzy! Ale przecież przyszła i ona do upamiętania, a to takim sposobem: Tej nocy miała taki sen. Przyszła do niej niewiasta w białej sukni, w wielkiej jasności, i tak do niej mówiła:

— Magdaleno! Grzechy twoje już bez miary, teraz tylko czas poprawy i pokuty. Wielki rachunek musisz zdać na sądzie ostatecznym za twego Kaspra. Wlazłaś w pracę jego rodziców, skaleczyłaś go sierpem i przez to odegnałaś go od jego rodziny. Błąkał się biedny, na wojnie Bóg go strzegł i wszędzie mu błogosławił, bo był dobrym; poczciwym sposobem dorobił się wielkiego majątku, nie zmarnował go jeno tobie przyniósł, nie pamiętasz na to cudowne przemienienie podczas twego wesela? U ciebie jeno pieniądze mają znaczenie, a czy te na sądzie boskim staną w twojej obronie? Tam tylko dobre uczynki przemówią za tobą, a jak nie będziesz kochała Boga i bliźniego, to wszystko na nic; będziesz jak dzwonek bez serca, jak noc bez księżyca, jak dzień bez słońca.

Na te słowa Magda się przebudziła, ale już tej osoby nie widziała, bo znikła. Potem się Magda niedługo namyślała, zerwała się i biegnie pod figurę. Tu Kasper spał jak nieżywy. Chciała go wziąć na ręce, ale nie dała rady, zawołała dziew-

czynę i obie go przyniosły do chałupy, ułożyły na łóżku pod pierzyną, a Magda jakiegoś ziela uwarzyła i dała mu się napić.

Na drugi dzień rano mówi Kasia do gosposi:

— Wyprowadźmy gospodarza pod figurę, może mu Pan Bóg przemieni.

— Dobrze moje dziecko — odrzekła Magda potulnie — ja zawsze proszę Boga serdecznie, żeby się nad nim zmiłował, żeby i mnie moje niegodziwości darował.

Ledwie Kaspra wyprowadziły, dotknął się figury, westchnął, a Magda z Kasią łzami się zalały. O przemienienie Pańskie! i widzicie kochaneńku co to Bóg miłosierny może! Kasper już sam z pod figury przyszedł. Magda zaraz dała na mszę świętą, sprowadziła z Ulanowa dwóch doktorów i siedzieli przy Kasprze z tydzień. Doktorom i aptece płaciła dukatami i nie żałowała, bo się cieszyła że Kasper zdrowszy. Cudownym sposobem zdrowia mu przybywało, już z łóżka wstawał, jadł, spał, wychodził na wieś do sąsiadów i krewnych na pogadanki, i już był znowu na całą wieś najmądrzejszy. Jednego razu rzekł do żony:

— Wiesz ty Magduś co ci powiem? Oto ze mnie się próżniak robi, nic nie mam ochoty do pracy, jakoś mi wszystko dolega, bo ja to stracił już siły i przy wojsku i w pracy, i ot przy tej słabości A Magda na to:

— I ja ledwie się ruszam, jużem się dość napracowała. Ja tak dziś w nocy umyśliłam, żeby twego stryjecznego brata Michała ożenić z naszą służącą Kasią.

— A dobrze — rzekł Kasper — i dać im zaraz dwa tysięcy dukatów.

— Tak nie — odparła Magda oddać im grunt i całe gospodarstwo, niech pracują a my im będziemy pomagać.

I tak się też stało. Michał ożenił się z Kasią i gospodarzyli, a Kasper z Magdą kiedy niekiedy brali się do pracy. Dobrze sobie żyli, nie żałowali sobie niczego, parę koni i wózek mieli zawsze dla siebie i prawie codzień wyjeżdżali to do kościoła to do miasta. Jednego razu mówi Kasper do żony:

— Magduś, pojedziemy dziś do kościoła, to konie zaprzęgnę.

— Oj Boże odpuść — mówi Magda, kiedy bardzeńko niemam ochoty, bo zimno i coś mię głowa boli. Ot pójdźmy pod naszą figurę i zmówmy paciorek.

Poszli, mówili pacierze szczerze a duchem świętym, bo miłością napełnieni wznieśli ręce ku niebu i z płaczem wołali:

— O Przemienienie Pańskie! Wystawimy tu kościół dla czci twojej najświętszej, pozwól nam go doczekać, żebyśmy w nim zanosili błaganie do ciebie Boże miłosierny.

Skończyli modlitwę i odtąd byli jedną duszą. Natychmiast kazali wszystkie stare budynki rozebrać, a nowe postawili na innym gruncie, zakupili drzewa i zaczęli budować ten kościół na tem samem miejscu i te lipy wsadzili, co do dziś dnia rosną, a starą figurę spalili, żeby się nie poniewierała. Najmilszą zabawą Kaspra i Magdy było to, żeby porządki w tym kościele robić i modlić się po całych dniach. Potem pisali prośbę do biskupa o pozwoleństwo, żeby się mogła w tym kościele codzień msza święta odprawiać, i żeby był odpust raz w rok na Przemienienie Pańskie. I tak się też wszystko stało. Oni oboje jeszcze pono bardzo długo żyli, a teraz z Bogiem spoczywają, a ludzie ich po wieki będą wspominać jak tylko o tym kościele się dowiedzą.

— Taka to historja kochaneńko o tym kościele w Jaśkowicach.

Podziękowałem pięknie staruszkowi za to opowiadanie i udaliśmy się spać z Bogiem.

RÓŻNOŚCI.

Śmieszne zdarzenie spotkało dwóch biegłych i dowcipnych złodziei. W ostatni targ Raciborski ukradli dwaj złodzieje wieśniakowi w Tworkowie krowę. Krówka dobrze wypasiona tak silnie się złodziejom opierała, że jej uprowadzić nie mogli. Okryli ją płaszczem i nawet oczy jej zasłonili, ale i to nie pomogło. Nareszcie uwiązali krowę u drzewa przy drodze publicznej i jeden z łotrów poszedł śmiało do okradzionego i prosi go, żeby mu krowę, którą na targu Raciborskim kupił, kawałek drogi odprowadził, za co mu 5 śrebrników ofiarował. Nieborak nie poznał w nocy krowy płaszczem okrytej, a krówka wesoło sobie szła obok gospodarza swego Gdy przyszli do lasu, złodzieje kazali krowę uwiązać u drzewa i chłopek odszedł z nagrodą. Jak wielkie było przerażenie jego, gdy powracającemu żona z płaczem oznajmiła, że krowę jego ukradziono! Ale jeszcze większe było zadziwienie jego, gdy w tem w największym pędzie krowa płaszczem okryta wpada do chlewa otwartego. Zdjąwszy płaszcz poznaje z radością krówkę swoją, a w kieszeni płaszcza znajduje 20 złr. pieniędzy. Jak się łatwo domyślić można, krowa silna wyrwała się złodziejom i uciekła.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.